

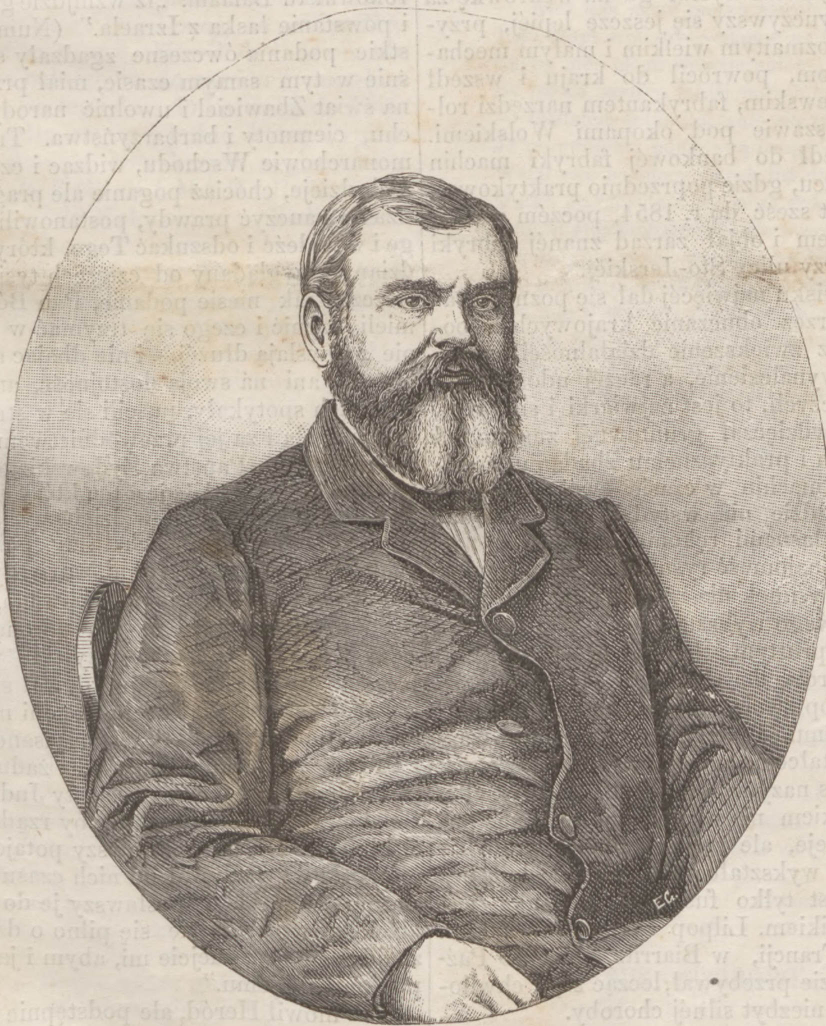
Warszawa dnia 28 Grudnia / 9 Stycznia 186⁶/₇ roku.

Nr 2. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

STANISŁAW LILPOP.

Pomiędzy naszymi przemysłowcami, Lilpop bez zaprzeczenia pierwsze zajmuje miejsce. Fabryka machin i narzędzi rolniczych pod firmą Ewans, Lilpop i Rau, ma już ustaloną sławę i wistocie trudno odmówić doskonałości wszystkim przedmiotom wyrabianym w téj fabryce. Fabryka ta wprawdzie istnieje u nas już oddawna, a Lilpop objął w niéj zarząd dopiéro w r. 1854, ale przez ciąg dwunastoletniego pobytu Lilpopa w spółce, fabryka ta o wiele wzrosła i o wiele przyczyniła się do wykształcenia polskiego rzemieślnika.

Przed Lilpopem, głównie zagraniczni robotnicy pracowali w fabryce, krajowcy trudny tam mieli wstęp; za Lilpopa zaś, działo się przeciwnie: mną większość robotników stanowili krajowcy, a przybysze tylko do koniecznych robót wzięci byli. Ta zmiana wpłynęła wielce na wykształcenie się polskich robotników w rozmaitych mechanicznych pracach i dała przytem byt i niezależność około 456 robotnikom. Prócz tego przekonała lub przekonać przynajmniéj powinna naszych fabrykantów, że polski robotnik wcale nie jest gorszym od Niemca i że śmiało najtrudniejszych robót przyuczyć się może. Przed Lilpopem Niemcy i inni wyrabiali machiny i narzędzia, a machiny i narzędzia były dobre i sławne bardzo daleko; za Lilpopa krajowcy te same narzędzia robili i nikt się nie skarżył, aby na tém cierpiała doskonałość wyrobu. Nasz robotnik gdy chce i gdy mu wskażemy sposób, to zrobi tak samo jak najlepszy zagraniczny. Ci majstrowie, co się skarżą na złego robotnika, sami temu winni, bo oni byli nauczycielami tego robotnika jako majstry. Ale jak majstrowie uczą swych uczniów? Boże odpuść! Niech więc ci, którzy skarżą się zawsze na złych ro-



Stanisław Lilpop.—(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Gorazdowski).

botników, zajrzą do fabryki Ewansa, a przekonają się, że nasz robotnik umie robić dobrze.

Wiecie jak ja oceniam człowieka? Pytam się najprzód tych, którzy mieli stosunki z owym człowiekiem: czy on był dobry, rzetelny i pracowity i punktualny? skoro mi odpowiedzą że był dobrym, rzetelnym, prawym i pracowitym, zapytam jaki zostawił majątek? jeśli mi odrzekną znowu że duży, to mówię człowiek ten był uczciwym, uczciwie dorobił się mienia i szkoda go, bo był dobrym obywatelem. Tak wypytywałem się o Lilpopa i szczerze powiedziałem: Lilpop był dobrym obywatelem. Nie myślcie jednak, że majątek jest koniecznym warunkiem dobrego obywatelstwa. Nie—można nie mieć majątku, a jednak będąc uczciwym, prawym i pracowitym, być dobrym obywatelem. Ale znowu majątek przy prawości i pracowistości, nie zmniejsza zasługi. Majątek jednak bez pracowitości, prawości lub rzetelności, nie czyni znowu zaszczytu i nie zdobywa dla niego miana dobrego obywatela. A cóż piękniejszego nad miano: dobry obywatel.

Lilpop urodził się Warszawie w r. 1817, uczył się u Pijarów, a następnie praktykował w fabryce machin należącéj do Banku, a istniejącéj na Solcu. W fabryce téj odznaczył się pracą, energją i głową pełną pomysłów; Bank wysłał go na wędrówkę za granicę. Tam wyuczywszy się jeszcze lepiéj, przypatrzywszy się rozmaitym wielkim i małym mechanicznym zakładom, powrócił do kraju i wszedł współkę z Zakrzewskim, fabrykantem narzędzi rolniczych w Warszawie pod okopami Wolskiemi. Ztamtąd przeszedł do bankowéj fabryki machin rolniczych na Solcu, gdzie poprzednio praktykował. Zarządzał tam lat sześć do r. 1854, poczém wszedł w spółkę z Rauem i objął zarząd znanéj fabryki Ewansowskiéj przy ulicy Sto-Jerskiéj.

Na tém stanowisku najwięcéj dał się poznać krajowi, nietylko przez obuczanie krajowych robotników ale i przez zwiększenie działalności całego zakładu i przez wynalezienie, a raczéj udoskonalenie machin rolniczych, to jest żniwiarki i siewnika. Wynalazki te zawdzięczał gruntownéj znajomości nauk technicznych i praktycznemu zbadaniu wszelkich szczegółów machin w czasie swéj wędrówki po obczyznie, gdzie nie wstydził się wglądać we wszystko i własnemi rękoma wykonywać najcięższe roboty. Znajomość rysunku wiele mu także dopomagała, bo rysunek dla rzemieślnika jest podstawą jego fachowego wykształcenia. Bez rysunku można być tylko prostym robotnikiem, rysunek dopiéro otwiéra wrota do wyższego wykształcenia, lepszéj doli. Lilpop swoje stanowisko i swój majątek zawdzięcza temu, że obok praktycznego, warsztatowego wykształcenia, miał jeszcze naukę wyższą; łączył jak to u nas nazywają praktykę z teorją, albo że był rzemieślnikiem nie na pół, jak to u nas powszechnie się dzieje, ale rzemieślnikiem prawdziwym, prawdziwie wykształconym. Rzemieślnik bez wyższéj nauki jest tylko fuszerem, z nauką jest dopiéro rzemieślnikiem. Lilpop był właśnie takim.

Umarł on we Francji, w Biarritz, dnia 15 Października r. z. gdzie przebywał, lecząc się z chwilowéj i zdawało się niezbyt silnéj choroby.

Makowiecki Aleksander.

Trzéj Królowie w Betleem.

Już od kilku dni Boska Dziecina spoczywała w Betleemskiéj stajence i odbierała hołdy pobożnych pasterzy. Już głos Aniołów śpiewających wesołą Narodzenia nowinę, rozlał się i rozpłynął w powietrzu i swą czarującą nutą podbił nie jedno serce, nie jedną duszę nawrócił ku lepszemu życiu, piękniejszéj przyszłości. Święta Rodzina nie opuszcza jeszcze niewygodnéj, a ubogiéj szopki: Matka-Dziewica karmi swą piersią małego Jezusa, Józef gospodarzy i opiekuje się tym skarbem, tym Zbawicielem całego świata, a wszystko troje jakby oczekiwali na kogoś. Widocznie palec to w tém Boży. Bo otwórzmy jeno księgi Święte i patrzmy i czytajmy, kto to ma jeszcze nawiedzić to biedne mieszkanie Syna Maryi: „Królowie Tarsis i wysp przyniosą dary: Królowie Arabscy i Saba przyniosą upominki.” (Psalm 71. w 10.) Tak przepowiedział natchniony Psalmista, a słowa one jak wszystkie inne o Chrystusie, wypełnić się muszą.

Daleko na Wschodzie ukazała sie dziwna, nigdy nie widziana gwiazda. Królowie-Mędrcy tamtejszych stron zdumieli się, zastanowili nad owem zjawiskiem niebieskiem i badali coby to za gwiazda być mogła. Ale przyszło im na myśl, że kiedyś, od wieków, prorokował tu Balaam: „iż wznijdzie gwiazda z Jakóba i powstanie łaska z Izraela.” (Num. 24, 17.) Wszystkie podania ówczesne zgadzały się na to, że właśnie w tym samym czasie, miał przyjść oczekiwany na świat Zbawiciel i uwolnić narody z niewoli grzechu, ciemnoty i barbarzyństwa. Trzéj tedy pobożni monarchowie Wschodu, widząc i czując co się około nich dzieje, chociaż poganie ale pragnący się dowiedzieć i nauczyć prawdy, postanowili udać się w drogę i wynaleźć i odszukać Tego, który był przepowiedziany i wyglądany od czterech tysięcy lat. A kiedy jeszcze, jak niesie podanie, Pan Bóg objawił im co mieli czynić i czego się trzymać w podróży, już się nie namyślają dłużéj,—i nie dbając ani na swoje królestwa, ani na swoją dostojność, ani na szyderstwa jakie ich spotykały, puścili się w stronę gdzie gwiazda jaśniała i za jéj przewodnictwem doszli do Jeruzalem, stolicy Państwa Żydowskiego. Tu pilnie wywiadywali się: „Gdzie jest ten który się narodził, Król Żydowski? Albowiem widzieliśmy gwiazdę jego na wschód słońca i przyjechaliśmy pokłonić się jemu. A usłyszawszy Król Heród, zatrwożył się i wszystka Jerozolima z nim.” Mniemał bowiem, iż to nowonarodzone Dziecię, wydrze mu koronę i wytrąci berło z rąk jego. I zebrawszy wszystkie przedniejsze kapłany i doktory ludu, dowiadywał się od nich, gdzie się miał Chrystus narodzić. A oni mu rzekli: w Betleem Judzkiem; bo tak jest napisane przez proroka: I ty Betleem ziemio Judzka, z żadnéj miary nie jesteś najpodlejsze między książęty Judzkimi, albowiem z ciebie wynidzie wódz, któryby rządził lud mój Izraelski. Tedy Heród wezwawszy potajemnie mędrców, pilnie się wywiadywał od nich czasu gwiazdy, która się im ukazała. I posławszy je do Betleem, rzekł: idźcie, a wywiadujcie się pilno o dzieciątku; a gdy znajdziecie oznajmcjcie mi, abym i ja przyjechawszy pokłonił się jemu.”

Tak mówił Heród, ale podstępnie i nieszczerze, bo w sercu miał już gotową zbrodnię do spełnienia. Chciał się tylko napewno dowiedzieć, czy rzeczywiście w Betleem urodził się ten nowy król, aby go potém napaść i jeszcze w pieluszkach zamordować.

Mędrcy wysłuchawszy i pożegnawszy Heroda,

odjechali. „A oto gwiazda, którą byli widzieli na wschód słońca, szła przed nimi, aż przyszedłszy, stanęła na miejscu gdzie było dziecię. A ujrzawszy gwiazdę, uradowali się radością bardzo wielką. I wszedłszy w dom, naleźli dziecię z Maryą, matką jego.” (Mat. Roz. 2.) Potém zwyczajem przyjętym na Wschodzie, kiedy się nawiedza kogoś wyższego, upadłszy na twarz oddali Mu pokłon, a otworzywszy skarby swe, ofiarowali Mu: złoto jako najwyższemu Panu i Królowi, kadzidło jako Bogu, gorzką myrrę jako człowiekowi. Zadowoleni tém co widzieli i upojeni nadziemskiém szczęściém, już mieli wracać i oznajmić Herodowi o pomyślnym skutku swych poszukiwań, gdy Anioł Pański ukazał im się we śnie i ostrzegł, aby inną drogą udali się do domu, nie wstępując wcale do Jeruzalem—co też i wykonali.

Kto byli ci Mędrcy i zkąd pochodzili, z pewnością nie można twierdzić. Pismo Święte zowie ich tylko Magami ze Wschodu; ale podanie mówi, że byli królami albo książętami z Arabji, że zajmowali się astronomją czyli nauką o gwiazdach i ztąd nazwano ich mędrcami—magami. Miało ich być trzech, t. j. Kasper, Melchior i Baltazar, a przybyli do Betleem trzynastego dnia po narodzeniu Jezusa Chrystusa. To też Kościół Katolicki na tę pamiątkę obchodzi uroczyście dzień 6 Stycznia, pod imieniem Trzech Króli albo Objawienia *(Epiphania)*, że w nim Zbawiciel świata pierwszy raz objawił się ludziom obcym, poganom, nie należącym do narodu żydowskiego. Wierni przynoszą tego dnia do kościoła do święcenia: złoto, kadzidło, myrrę i krédę, którą wypisują na drzwiach domów trzy krzyże z pierwszemi literami imion Trzech Króli: K.† M.† B.† Relikwie ich znajdują się w kościele Kolońskim, w Nadreńskich Pruskich prowincjach.

Obchodzimy jeszcze w tym dniu wspomnienie Chrztu Chrystusa w Jordanie i pierwszy cud Jego, przemiany wody w wino w kanie Galilejskiéj.

Na zakończenie, niech mi wolno będzie kilka słów jeszcze dodać: Nie dosyć jest znać historję tajemnic naszéj religji, nie dosyć wiedzieć co, jak i kiedy się stało—nie. My, ze wszystkiego powinniśmy korzystać, a wnikając w ducha świętych uroczystości i zapatrując się na dzieła i czyny mężów znakomitych czy to nauką, poświęceniem się, czy to świątobliwością i pobożnością życia, winniśmy ich naśladować. Naśladujmyż więc wiarę i pokorę tych pogańskich Mędrców i nie leńmy się porzucić majątki, bogactwa, rodzinę—dla Chrystusa. Pokłon oddany Zbawicielowi, choćby w najskromniejszym wiejskim kosciołku, nie shańbi naszéj godności, nie ubliży naszemu rozumowi, owszem podnieśie go i uzacni. A ową gwiazdą betleemską, przyświecającą na czarném tle naszego życia, niech nam będzie Wiara i Kościół nasz święty. On nas mędrcami uczyni, on nas doprowadzi do Betleem, do szopki przez ołtarz, gdzie spoczywa utajony Ten sam Król Żydowski, którego szukali Magowie, Araby. Idźmyż do Niego z wiarą, nadzieją, miłością, i ofiarujemy Mu złote skarby naszego serca, nasze cnoty i dobre uczynki jako Królowi; nasze kadzidło ze szczerych i pobożnych modłów jako Bogu; nasze gorzkie jak myrra łzy i cierpienia jako człowiekowi; lub też otwórzmy nasze skarby dla ubogich i nieszczęśliwych, a ta Boska Dziecina jak błogosławiła Kacprowi, Melchiosowi i Baltazarowi, tak też i nam błogosławieństwa nie odmówi.

Gumowski Franciszek.

MŁODY RYBAK.

Słonko już zaszło—a czarna chmura
W kształt fantastyczny rośnie za lasem;
W koło zalega ciemność ponura,
Ciemność grobowa; z wichrów hałasem
W oddali szumią wiekowe drzewa,
Olbrzym im zda się czoła przygniata;
Strwożony puszczyk dziką pieśń śpiéwa
I tu i owdzie z przestrachem lata,
A nad jeziorem w maleńkiéj chatce,
O którą wzdęte kołaczą fale—
Z iglicą w ręku rybak przy siatce,
Siedział i gwarzył z matką zuchwale.
— Co mię tam burzą matko straszycie,
Właśnie to pierwsza taka na świecie;
Darmo się tylko nad tem trudzicie:
Że nie posłucham—o tém już wiecie.
Bo nie dziś jestem kaszą karmiony,
Rozum już własny mi przewodniczy;
Nieraz mną wicher miotał szalony,
A powracałem pełen zdobyczy.
I dziś tak samo jak zawsze wrócę;
Czego się lękać?—śmiéch tylko bierze:
Ot wraz popłynę, sieci zarzucę;
I pozastawiam na noc więcierze.

— Ależ mój synu! matka zawoła:
Taki szum straszny—ciemno na dworze;
Chyba moc złego wiedzie anioła,
By iść na wodę o takiéj porze!..
— Gadajcie sobie jak wam się zdaje,
Ja po swojemu pójdę swą drogą.—
Wziął sieć na plecy i krok już daje,
Matka go chwyta z rozpaczą srogą:
—Stój! stój niebaczny!.. nie puszczę ciebie,
Jak Bóg na ziemi! jak Bóg na Niebie!
Na tom że ciebie karmiła dziecię,
Byś mię w starości rzucił na świecie!..
Zostań, ach nie idź!..—Próżna mozoła,
Darmo się leją łzy z oczu matki;
Prośbą ni mocą wstrzymać nie zdoła,
Syn się wymyka za próg swéj chatki,
I prosto bieży na brzeg jeziora.
Wskoczył do łodzi—fala plusnęła...
Ta za nim w trwodze jak cień upiora
Pobiegła na brzeg—lecz nie ujęła,
Wołała tylko—na to wołanie,
Szyderczym śmiechem wicher odzywał;
Łódkę odkryły mroczne otchłanie,
Syn gdzieś daleko na falach pływał.

Wrzała, przewrzała burza szalona;
I noc uchodzi— i dnieć poczyna,
U brzegu jeszcze matka strapiona
Stoi i czeka powrotu syna:
Lecz już nie wrócił zuchwalec młody,
Sama z rozpaczą odejść musiała:
Bo bez sternika na głębiach wody
Łódź przewrócona sama pływała.

Aleksander Szukiewicz.

SUKCESSOROWIE,

Opowiadanie garbuska.

(Dalszy ciąg — Patrz Nr. 1).

— Moje dzieci co innego, a on co innego. Ja jeżeli usługuje kassjerowi to kassjerowi, ale żebym miała starą bieliznę łatać jakimś tam garbatym przybłędom, to niedoczekanie jego.

— Któż cię oto prosi, czysz nie można znaleść kogo innego we wsi,— ja zapłacę....

— Tak ja wiem, kassjer by tylko płacił, a jest też na to, jest...

— Znajdzie sią moja droga, czy to summy....

— Dla niego ja wiem że się znajdzie...

— Myślę że i dla drugich się znajdzie, i znajduje często, choć o tem nawet raz do roku nie raczą sobie przypomnieć....

To już było zanadto dla pani Pelagji; widocznie i to pierwszy raz, pan kassjer przymówił się o brak pamięci na imieniny.— Zaczerwieniona więc ze łzami w oczach, wybiegła z pokoju trzasnąwszy drzwiami, a kassjer potarłszy łysinę szepnął do siebie „masz tobie, zbudziłem djabła... no, ale trzeba było.”

W kilka dni potém, gdy pani Pelagja już się nieco udobruchała i wszystko szło zwyczajnym porządkiem, do czego najlepiéj się przyczyniło wysłanie dwóch wozów ze zbożem i innemi zapasami dla starszéj córki pani Pelagji, zjawiło się kilku żydów we dworze.

Nieznała ich gospodyni zupełnie; stąd okropna ciekawość co to za jedni i co tu robią. Przyprowadził ich Berek, lecz Berek milczał jak mur, mimo że wypił parę kieliszków pestkówki w pokoiku pani Pelagji.

— Niech imość będzie pewna, że co JW. kassjer robi, to dobrze robi; to mądry pan jakiego w okolicy nie ma; a on dla kogo robi?

— Otóż, mój Berku, że nie wiem na pewno....

— Jakto imość pani nie wié, a komu co daje? — a komu posyła, a kto jemu najbliższy...

— Bo, widzisz ten Wawrzuś garbaty...

— Ha, ha, ha,—zaśmiał się Berek, bom to wszystko przezedrzwi słyszał, co Wawrzuś, to Wawrzuś, i nie więcéj on sobie Babrzuś...

— Ależ to powinszowanie przeklęte... oj, natręż ja uszów Karolkowi, Zuzannie, Janowi, tylko-no przyjadą na święta... Bębny przebrzydłe, żeby też o imieninach stryja nie pamiętać; a uczą się to niby czegoś w gimnazjach, a takiego głupstwa nie potrafią. Mój Boże, jakie to teraz szkoły! Słuchajno Berku, jak będziesz w Warszawie... ale nie...

— No niech pani mówi...

— Nie, nie, chybaby na Wielkanoc... tylko nie wiem czy się to winszuje na Wielkanoc.

— Dla czego nie — odrzekł śmiejąc się podejrzliwie pachciarz; dla czego nie!.. Oni by mogli takie wielkie jak ten stół wypisać powinszowanie.

— Ma się rozumieć, nie takie jak ten tam dur... garbaty na ćwiartce...

— No, to im natrzéj uszu mój Berku, tylko porządnie!

— Czy oni sobie dadzą? — oni takie panicze.

— Prawda, że panicze chłopaki, niewiem skąd się to wzięło, bo to ojciec był, Boże zmiłuj się, ekonom i zawsze ekonom, w niego się nie wdali.

— Chyba to już z pani Pelagji...—dorzucił śmiejąc się Berek.

— Napijno się Berku jeszcze jeden, to wyborne od kupca z Węgrowa, którą przysłał kassjerowi.... To też widzisz Berku, powiem ci jak na świętéj spowiedzi, że boję się o tych paniczów; kassjer, daj mu Boże życie jak najdłużéj, ale wiecie..... no, zawsze trzeba umrzeć.

— A ino jak?

— Więc żeby on mógł testament napisać dla moich dzieci. — Jak go nie będzie, to mówił mi Wójt Trzymalski, dużo będzie sukcessorów, a tu chłopaki straszne panicze; trzeba im majątku Berku. Ten kassjer, Panie zmiłuj się, porobił z nich takich panów, choć ja ciągle gadam: na co to, oni biedni, co im po takich naukach... ale ja myślę...

— Dobrze pani imość *miszli*, pan kassjer to taki mądry człowiek, on wié co robi, on wié co z kogo robi. Kto tu mądrzejszy w okolicy, hę? może wójt Trzymalski, hę? — U niego w głowie nie tyle, co u naszego pana w małym palcu...

— Prawda, prawda, brat kassjer mało mówi, ale jak co powie, albo zrobi, to już dobrze... Nie raz się boję o tego Wawrzusia, ach niegodziwy bęben z tem powinszowaniem.. Mówię ci, to *hypokrywa*, już ja się znam;—tak dusił ten świstek... tak się krył i w sam Ś. Józef, bach!... Najukochańszy opiekunie!.. Smarkacz.... dałabym ja ci opiekunie, poczekajno, przyjdzie kréska i na ciebie.

— On to z przyzwyczajenia zrobił; w mieście taki zwyczaj, co tam taki Babrzuś... Niechby mu tam już zapisał pan jakie trzysta złotych...

— Niechby.... pięćset—dodała z namysłem pani Pelagja.

Wołanie stryja, przerwało rozmowę —której naprawdę zupełnie pojmować nie mogłem; zrozumiałem tylko, że chodziło o powinszowanie. Nie mogłem odżałować, iż pisząc go nie poradziłem się ciotki Pelagji, byłaby doniosła synom do Warszawy i oni by napisali i przysłali, a tak mimo wiedzy zaszkodziłem im przed stryjem. Zmartwiłem się bardzo, bo to rzeczywiście wyglądało na jakieś pochlebstwo stryjowi, choć Bóg świadkiem, że go nie miałem nigdy na myśli. Trudna rada, moja wina, ale i trochę ciotki: dla czego nie chciała mi dać świécy kiedy prosiłem poprzednio i czemu przynajmniéj nie zapytała na co chcę téj świécy. Byłbym jéj powiedział, i nie miałaby teraz niepotrzebnéj przykrości.

Na drugi dzień po owéj naradzie z kupcami, pojechał stryj z Berkiem do Warszawy.

A powróciwszy w kilka dni, był w dobrym humorze — każdemu coś się dostało z prezentów, jakie porobił — dla mnie zaś prócz całéj garderoby, kilka książek o gospodarstwie.

— Czytaj, rób wyciągi mały i ucz się; kto mieszka na wsi powinien znać tę matkę ziemię, a nie jak małpa robić to co i drudzy.

Rachunki były w porządku; wiosna na ziemi, więc i serce moje odżyło. Stryj kazał mi się teraz więcéj zajmować gospodarstwem na zewnątrz: oddał mi klucze od spichrza i przy każdéj sposobności objaśniał o naturze gruntu, uprawie, nawozach i różnych zajęciach wiejskiego gospodarza.

Przy takiéj pracy podejmowanéj ochotnie, wesoły, bo i ciotka przecie zapomniała o powinszowaniu, nabrałem lepszéj cery i tuszy, wyrosłem o jakie pół łokcia i ubrany przyzwoicie, wyglądałem wcale porządnie. Czytanie książek gospodarskich i innych, które mi stryj dostarczał, oświecało mój umysł, dowiedziałem się o wielu rzeczach na świecie, o których dotąd inaczéj myślałem.

Trwało to rok cały. Stryj często nie wychodził z pokoju i po kilka tygodni, więc gospodarstwo całe przeszło nieznacznie w moje ręce, służba nazywała mię panem Wawrzeńcem, a stryj polegał na mnie do tego stopnia, iż poruczał załatwienie ważniejszych interesów i w towarzystwie pachciarza wysy-

łał za interesami do powiatu, a nawet i do Warszawy. Martwiła mnie tylko niechęć jakaś stryja ku mojéj osobie.

Prawda że robił wszystko dla mnie, ufał mi, lecz zawsze obejście jego ze mną było chłodne, powiem nawet obojętne, gdy przeciwnie, ja kochałam go i szanowałem do zaślepienia.

Mówiłem o tém i z Berkiem, lecz on zawsze po swojemu odpowiadał: „panie Wawrzeniec, pan młody, a JW. kassjer, jest człowiek najmądrzejszy, a jeżeli jest taki, to on wie dla czego jest taki; on z pana bardzo kontent, tylko już taki: jemu nikt nie zrobi, żeby był inszym.”

— Mój Berku, może ja jemu zawadzam, powiedz kochany Berku, ja sobie pójdę w świat, ja siérota biedny, ale z jego łaski umiem tyle, że mnie gdzie przyjmą za pisarza czy ekonoma, będę pracował.

— Et panie Wawrzusiu, nietrzeba nigdy żeby jaje było mądrzejsze od kury; pan się nie waż nigdy o tém JW. kassjerowi mówić, toby jego zabiło. Wawrzuś wie, że Berek jego przyjaciel z przeproszeniem i żyd katolika może być przyjaciel—to Berek radzi, nie kłopotać sobie głowy a robić swoje, tak Berek radzi.

* * *

Robiłem też swoje i ufny w zapewnienia Berka nie śmiałem ani słowa wspomnieć stryjowi, a choć serce się krajało z bólu, choć nieraz chciałbym upaść do nóg dobroczyńcy i powiedzieć mu ile go uwielbiam, jego zimne obejście przeszywało mię lodem.

Pamiętam było to około Wielkiéj-Nocy: Stryj wysyłał Berka do Lublina w ważnym jakimś interesie processowym, gdzie miał dwa tygodnie zabawić. Cały wieczór pisałem za dyktowaniem rozmaite listy, a Berek czekał w pokoju, aby natychmiast odjechać. Prócz tego co mogłem słyszeć, dawał on mu jeszcze po cichu różne instrukcje, dość, że rozmawiali do późna w nocy, ja usnąłem w swoim pokoju na dobre. Nie wiem przeto która mogła być godzina, gdy uchyliwszy drzwi od swojéj sypialni, zawołał stryj.

— Wawrzuś!

— Słucham stryja....

— Moje dziecko, nie masz zapałki?

— Jest, odrzekłem, pocierając o ścianę i zapaliłem świécę.

— Mój kochany— mówił łagodnie, stojąc w szlafroku przy drzwiach; nie wiesz ty gdzie ciotka chowa cukier? Coś mię tak dusi, chciałem się wody napić z cukrem.... Ale czegożeś to jeszcze nie rozebrany?

— Myślałem, że stryj mię będzie do pisania potrzebował....

— Dobre z ciebie dziecko... ale cukier?

— Oj nie wiem stryju, zdaje mi się że ciotka stawia przy sobie z cukiernicą.

— Eh, to nie trzeba jéj budzić..

— Jeżeli tak, ja pobiegnę do pachciarza, widzę że jeszcze się świeci u niego....

— Czyby on nie pojechał jeszcze? kiedy masz ochotę to pobiegnij, zaraz się dowiesz co on tak długo marudzi.

Skoczyłem tedy, po drodze zabrawszy karafkę na świeżą wodę i za chwilę wróciłem z cukrem i wodą.

— Już dawno pojechał, rzekłem, oddając kilka kawałków cukru, przyniosłem i świeżéj wody...

— Dziękuję ci Wawrzusiu, bardzo dziękuję, moje dziecko idź spać, już bo to późno, tylko się rozbierz, tobie niezdrowo spać w ubraniu. No, dobranoc ci! dokończył — a gdym go pocałował w rękę rozczulony dawno nieznaną łaskawością, wziął oburącz moją głowę i serdecznie ucałował.

Byłem w piątém chyba Niebie! — Z radości, nie wiedziałem co robić i gdyby nie noc, tańcowałbym po pokoju... A jakie przyjemne uczucie opanowało mém sercem, jak błogosławiłem Berka, że mnie zapewniał o mądrości i dobroci stryja: jakiż nazajutrz obiecywałem sobie dzień wesoły — to tylko pojąć może taki jąk ja sierota, takie biedne ułomne stworzenie, o którém świat wiedzieć nie chce.

Wstałem do dnia jak zwykle do czynności gospodarskich i lekki jak ptaszek, biegałem po wszystkich kątach, zachęcając do pracy, żartując ze służącymi; słowem, jak ów ptak szybujący swobodnie po powietrzu, gdy strzelec posuwa bronią za jego lotem i celuje z cierpliwością, aby nie chybić. I dla mnie strzał padł. — Zwichnęły się skrzydła i jak ów król powietrzny, padłem u nóg przeznaczenia.

Darujcie mi czytelnicy, nie mogę pisać daléj, jeszcze po latach tylu, łzy kapią mi na papiér, serce mi się ściska, ciemno przed oczami... to było gorsze niż strzał myśliwca — to był krzyk dziéwki, która zadyszana wpadła do gorzelni: „pan umarł”!!!

Bez myśli, bez tchu, jak szalony wpadłem do sypialni stryja. Leżał bez czucia, owinięty w kołdrę z twarzą spokojną jak we śnie;—na stoliczku obok, stało pół szklanki wody z cukrem, lecz niestety, już nie żył.

Nie potrzebuję opisywać płaczów, krzyków, chaosu i przerażenia, jaki ten wypadek sprawił we dworze i na wsi. Przyznam się, nie widziałem tego, nic nie słyszałem, nic nie czułem, prócz łez, które nieustannie płynęły z mych oczu.

Rozbiegli się posłańcy w różne strony do zięciów i synów pani Pelagji, która musiała serdecznie żałować brata, skoro zapomniała nawet o sukcessji. Robota wszelka stanęła; przybył proboszcz, przybiegł wójt i ci zajęli się przygotowaniami do pogrzebu; my potraciliśmy głowy zupełnie.

Najprzód przyjechał zięć z córką pani Pelagji, dzierżawca folwarku o dwie mile od Zielonki odległego, niejaki Abramski, w towarzystwie p. Karola Kozowskiego dependenta u adwokata, który się zajął sprawami nieboszczyka. Pierwsze jego słowa były:

— Matko, testament jest? gdzie testament? trzeba szukać testamentu.....

Pani Pelagja się opamiętała; wyjęto kluczyki z pod poduszki stryja i zaczęła się rewizja po szufladach w biórku, w komodzie, w szafie z książkami. Testamentu nie było.

— Ach, ja nieszczęśliwa! —krzyknęła z rozpaczą ciotka, za tyle lat pracy nic i nic!... I załamała ręce i płakała jeszcze głośniéj.

Uważałem, że przy szukaniu testamentu, pan Abramski często jakieś przedmiota chował do kieszeni, zapewne to były jego rzeczy a nie stryja, boć nie przypuszczam, żeby się do tego posuwał.

— Czego matka rozpacza! — zawołał spoglądając na nią znacząco — testament jest pewno, nie trzeba krzyczeć, ja zaręczam że jest..... tylko... i tu spojrzawszy do koła, zatrzymał wzrok na mnie. —

— A ty tu co robisz garbusie, precz! szpiegujesz!?

— Daj mu pokój, Ignacy...

— A co on tu będzie się wciskał między fami-

ję? Czy on sukcessor czy co, niech wlézie w kąt i siedzi cicho.....

Wyszedłem zgnębiony, niedla brutalskich słów pana Abramskiego, lecz dla tego, iż niepozwolono mi patrzeć się na twarz ukochanego stryja. I ledwo wyszedłem przed sień, gdy znów napadła na mnie Kostusia, córka pani Pelagji, a żona Abramskiego.

— Dawaj klucze Wawrzek od spichrza i magazynu!

Dałem — i idę bezmyślnie ku gumnom. Patrzę, Kostusia objęła już moje obowiązki. Tomasz ekonom gdzieś zniknął, a tu parobcy ładują furmanki, pakuje się zboże, odpędzają owce, zamieniają konie, już dwie fury odjechały zapewne do domu Abramskich, na inne kładą i kładą, nawet ule z pszczołami.

— A ty tu czego się plączesz garbusku! — krzyknęła na mnie pani Kostusia — tak ją matka nazywała i wszyscy domowi. — Już się twoje panowanie skończyło, nie masz tu czego oczy wystawiać... idź sobie, idź, to już nasze...

Powlokłem się do gorzelni. I tu ruch: gorzelany z wójtem wytaczają z piwnicy kufkę okowity. Nie wiem jak się tam dostali, bo u mnie były klucze, które dopiéro co pani Kostusi oddałem; chciałem się przez zapomnienie spytać, gdy wójt szlachcic z sąsiednéj wsi mówi: —Żebyś nie myślał, że to nie moje Wawrzuś, kupiłem od kassjera i biorę panie dobrodzieju, żeby ta chołota co tu zjedzie, nie zrabowała; a ty mi ani piśnij o tém! — bo wiesz, mości dobrodzieju, nie masz paszportu na pobyt, więc marsz pod strażą na miejsce urodzenia.

Odwróciłem oczy, a nie wiedząc gdzie się podziać, szedłem ku plebanji. Po drodze spotykam dwa wozy jadące z lasu. — Ogromne kloce starodrzewu leżą na nich; widzę nie ocechowane, widzę wujaszek Zaleski skręca z niemi do Węgrowa, a czapka na bakier i mina gęsta.

— Wawrzek, co... drę łyka i tęgo... co? — djabli go wzięli, chę, a tyś chapnął co Wawrzek? bierz bo cię nie przyjmę z gołemi rękami, pamiętaj!... wio! wio!... kpię z twojéj cechy, już ty figę znaczysz!

No, pomyślałem sobie wstępując do proboszcza, toż to dopiéro trzy godziny od śmierci kassjera i już tak idzie..... cóż to będzie daléj? I żal mi było téj pracy stryjowskiéj, bo choć wiedziałem, że to nie moje, zawsze jednak kilka lat nazywając to *nasze,* nie mogłem obojętnie patrzeć na taki rabunek tego, co on pracą i skrzętnością zgromadził. Stanęła mi na myśli marność tego świata i zdawało mi się, żem umarł także i patrzę nieruchomie na to wszystko, a nie mam siły przeszkodzić.

Z tą myślą wszedłem w gościnne progi księdza; poczciwy starowina, dając dyspozycje pogrzebowe, zalewał się łzami. I on kochał starego dziedzica, choć pani Pelagja odwracała ciągle stryjowskie serce od niego, siejąc plotki między nimi.

— Cóż, wypędzili cię, biédaku? — spytał mię żywo.

Nic nie odrzekłem.

— Nie bój się, wszystko dobrze będzie, mówił starowina, przyciskając mię do piersi — jakoś to damy sobie radę. — Niech drapią, niech wypędzają. Nie pójdzie im to na dobre, wierz mi staremu..... A tymczasem zostań u mnie jak w domu..... tyś dobry chłopiec, tylko nie płacz, będzie dobrze, jakoś to będzie.....

(Dalszy ciąg nastąpi).

WĄŻ BOA.

(Wyjątek z dziennika podróżnego).

...Wysiadłszy z czółna, ja i trzéj murzyni, gdyż czwarty został w szalupie, weszliśmy w gąszcz leśną. A gąszcz to o jakiéj mieszkańcy umiarkowanéj strefy ani wyobrażenia nie mają. Pień przy pniu, gałąź przy gałęzi, krzak przy krzaku, a wszystko poplątane gęstemi wicinami, dzikiem winem i innemi wijącemi się krzewami. W niektórych miejscach, musieliśmy nawet siekierą i nożem torować sobie drogę. Na szmer naszych kroków, pierzchały spłoszone papugi, małpy i olbrzymie jaszczurki, właściwe gorącym strefom Ameryki południowéj. Próżno jednak wyglądaliśmy zwierzyny: czy upał ją w głąb puszczy zapędził, czy przewąchały nasze przebycie, dość że nic znaleść nie mogliśmy.

Wtém, zaszeleściało cóś w krzakach.

Murzyn idący przodem, przyłożył palec do ust i giestem mię wzywał, abym się zbliżył.

Na niewielkiéj polance, pośród któréj sączył się strumień, pasła się trzoda antylop. Jedna z nich, prawdopodobnie stary kozieł, stała na straży węsząc powietrze. Jakiś niepokoj malował się w ruchach tego pięknego zwierzęcia, rzekłbyś, że przeczuwało niebezpieczeństwo, ale nie wiedziało z któréj strony ono grozi.

Kula wypuszczona z mego karabina, dała mu to poznać. W mgnieniu oka całe stado się zerwało i szybkie jak wiatr, znikło nam z oczu. Kozieł zaś upadł wprawdzie, ale nim dobiedz doń zdołaliśmy, zerwał się i pobiegł za stadem. Ruszyliśmy w pogoń, która naturalnie nie była przyjemną, ile że co krok to o pień, to o głaz, to o poplątane gałęzie, zawadzaliśmy.

Nie wiém jak długośmy biegli, to tylko pewna, że zmęczeni, zziajani, już mieliśmy wyrzec się łupu, gdy nagle ujrzeliśmy go padającego pod olbrzymiém jakiémś drzewem. Z dzikim okrzykiem radości, rzucił się murzyn na przedzie biegnący na bezsilne zwierzę, gdy nagle zaświstało cóś w powietrzu, zaszeleściały liście, zatrzeszczały gałęzie, a murzyn przeraźliwy jęk wydał.

Spójrzeliśmy i krew nam zamarła w żyłach.

Uczepiony ogonem do drzewa, potężny wąż boa, drugą częścią ciała swojego, obwinął kilkakrotnemi sploty biédnego murzyna i starał się go przyciągnąć ku sobie.

Strzelać było niebezpiecznie, bo zabijając węża, murzyna mogłbym zabić, a zresztą i karabin mój nie był jeszcze nabity. Gdy śpiesznie staram się go nabić, najmłodszy z murzynów zwinny i śmiały Karambo, jednym skokiem stanął przy wężu i usiłował mu odciąć ogon długim nożem.

Gad uczuwszy ból, puścił swoją ofiarę i sycząc przeraźliwie, właśnie już miał okręcić się około ciała napastnika, gdy kula moja przeszyła mu szyję. Zachwiał się potwór w powietrzu, syknął, wstrząsł się i zwisł wzdłuż drzewa. Zdawał się martwy. Podszedliśmy ku niemu, to jest ja i dwaj murzyni, bo trzeci leżał bez ruchu, i w chwili gdyśmy zagłębiali w głowę jego noże, gad ostatnim wysiłkiem wyprężył się, podniósł głowę i o parę cali od méj głowy, ujrzałem straszną jego paszczę uzbrojoną szeregiem ostrych, zgiętych w tył zębów. Czułem jego smrodliwe tchnienie, długi wysunięty język już dotykał méj twarzy i pewniebym zginął ani słowa nie rzekłszy, gdyby silna dłoń Karamby gwałtownie mnie w tył nie odepchnęła, tak, żem stracił równowagę i o kilkanaście kroków po spadzistości się potoczyłem.

Gdym podniósł się z ziemi, potwór nie dawał już znaków życia. Był długi na dwanaście stóp, gdy się jednak wytężył, o wiele był dłuższy. Cały spód ciała był pokryty listewka-

mi rogowemi, drobne zaś łuszczki znajdowały się na tyle głowy. W tylnéj części ciała widoczny był ślad nóg tylnych, zupełnie atoli nierozwiniętych i ukazujących się w kształcie dwóch małych sęczków.

Badania te jednak trwały tylko chwilę, bo wszyscyśmy śpiesznie pobiegli na ratunek leżącego pod drzewem murzyna. Kilka kropel spirytusu, przywróciły mu przytomność. Nie był wprawdzie zraniony, ale okropnie potłuczony, dzięki uściskom strasznego potworu.

W parę minut potém, jeden murzyn wlazł na drzewo z końcem powroza, którego drugi koniec był uwiązany do szyi potworu! Przewiesiwszy powróz przez gałąź, rzucił koniec w ręku trzymany swoim towarzyszom, którzy silnie zań pociągnęli, a wąż zawisł na gałęzi, jak to drugostronna rycina wystawia. Murzyn z gałęzi ześliznął się na ciało węża i uczepiony na niém, rozciął nożem szeroką bruzdę w dolnéj części szyi potworu.

— Co to będzie, zapytałem Karamby.

— *Musim skórę zdjąć, a mięso zjeść*, odpowiedział murzyn lakonicznie.

— Jakto, alboż jecie taką obrzydliwość?

— *On nas, my jego jeść* — odparł murzyn z tąż samą lakonicznością. W żołądku potwora, znaleźliśmy na pół strawioną jeszcze świnię. Wiadomo bowiem, że węże boa połykają mniejsze zwierzęta, jak psy, świnie, owce, kozy i t. d. Ciało ich wprawdzie nie jest zbyt grube, ale znacznéj nabiera rozciągłości. Nie idzie zatém wszakże, aby wąż ten mógł połknąć tak wielkie zwierzęta jak wół, koń i t d. Są to baśnie podróżników, jak również i to do rzędu wierutnych baśni policzyć należy, że wąż ten na 20 łokci jest długi. Rzadko bowiem długość jego przewyższa 12 stóp czyli sześć łokci

Wąż boa niejest jadowity, ale drapieżność, siła i żarłoczność jego są niesłychane. Przyczajony na gałęzi, do krórej z barwy jest podobny, rzuca się na zdobycz swoją, okręca ją splotami cielska swego, dusi, druzgocze kości, oślinia i połyka potém. Najedzony, legnie gdzie w trawie i tak nakształt nieruchomego pnia kilka dni czasem spędza, trawiąc niezmiernie powoli, w zupełny stan odrętwienia wpadłszy. W takim stanie najłatwiéj go zabić, to téż na tak objedzonego węża mieszkańcy stref podzwrotnikowych zwykle polują. Być nawet może, że i z pomienionym wężem nie tak prędko trafilibyśmy do końca, gdyby był głodny.

Mścisław Kamiński.

ROZMAITOŚCI

W nowy Rok podsłuchane.

(*W biedném mieszkaniu.*)

Gospodarz (*wchodząc.*) Zdaję mi się żeś pani zapomniała, że z Nowym Rokiem nowy kwartał się zaczyna..

Wdowa. Ach, panie gospodarzu, nie zapomniałam, ale...

Gospodarz. Ale... wiecznie ale... pięknie się rok zaczyna!..

Wdowa. Tydzień cierpliwości...

Gospodarz. A to mi pani pięknie nowego roku winszujesz!.. Ale... cierpliwość... tydzień... Muszę się wywzajemnić... muszę... Będziesz miała jutro powinszowanie... na stemplu pani, na stemplu...

(*W bogatszém mieszkaniu.*)

Tenże gospodarz (*wchodząc, z ukłonami.*) Łaskawéj pani dobrodziejce ośmielam się złożyć... życze...

Nie-panna, nie-mężatka, nie-rozwódka, nie-wdowa. Mój panie!.. posłałam po półrubla do każdego z Kurjerów, sądzę więc, że nietylko od rozsyłania biletów noworocznych lecz i od wszelkich wizyt z powinszowaniami, powinnabym być wolną.

Gospodarz (*wychodząc, z ukłonami.*) Przepraszam... nie wiedziałem... (*do siebie.*) Podwyższę jéj od świętego Jana!

(*W bramie.*)

Antek. Słuchaj, Wojtek, chcesz się zasłużyć krajowi?

Wojtek. I! co mi tam!.. wolałbym dziesiątkę zkąd dostać.

Antek. Zasłużymy się swoją drogą, a po dziesiątce dostaniemy, swoją.

Wojtek. Jeśli tak, to i owszem. Tylko jak?

Antek. Ja, bo widzisz słyszałem jak majster czytał w Gazecie, że stare zwyczaje giną i że ich szkoda, że pilnowanie się ich jest zasługą.

Wojtek. I cóż z tego?

Antek. A cóż to są stare zwyczaje? Oto klocki w Popielec, garnkiem o drzwi w półpoście, szmigus, *pryma aprylus*, wianki, szopki, kolendy... Więc chodź ze mną po kolendzie, będziemy winszowali czy kto chce. czy nie chce... Co się zbierze to zbierze, a zasługa zasługą.

(*Przed afiszem.*)

Tłusty jegomość (*spostrzegając rękę chudego jegomości w swojéj kieszeni.*) Pan dobrodziéj się myli... to moja kieszeń...

Chudy jegomość (*cofając szybko rękę.*) Przepraszam... omyliłem się... sądziłem, że to który z moich znajomych i chciałem... wrzucić bilet z powinszowaniem nowego roku... (*oddala się szybko.*)

(*Przy kufelku.*)

Jan. Powiedz mi Piotrze, jaka klassa ludzi jest w Warszawie najszkodliwszą?

Piotr. Wybór trudny, bo tych klass litanja cała... lichwiarze, pokątni doradcy, szulerzy różnych kategorji, wydrwigrosze i dzieliworki...

Jan. Czekaj, czekaj!.. nigdy nie trafisz.

Piotr. Któż tedy?.,

Jan. Oto powiem ci i dowiodę... strażacy.

Piotr. Rozumiem... chciałeś wiedzieć jak wielkie oczy człowiek zrobić może ze zdziwienia... patrz na moje...

Jan. Tak, strażacy!... Obrachowano najdokładniéj, że każdy z nich gasi średnio cztery wypadki ognia rocznie, a siedm wielkich pożarów wznieca... w sercach kucharek i sług do wszystkiego.

(*W drodze do bióra.*)

Paweł. Bodaj przepadły wszystkie reklamy, razem z tym co je wymyślił.

Gaweł. Złapałeś się znowu na wędkę?

Paweł. Najszkaradniéj.. Czytam w Gazecie, że w tym a tym sklepie wszystko *dobre* i *tanie*... idę, kupuję... i za jedno płacę w trojnasób, a drugie dostaję nic warte.

Gaweł. Dobrze ci tak!.. dlaczego nieuważnie czytasz. Kiedy Kurjer pisze, że u niego wszystko dobre i tanie, to pisze szczerą prawdę, tylko trzeba rozumieć: że to co dobre, nie jest tanie, a to co tanie, nie jest dobre

(*Przed Lursem.*)

Pan A. Stał się fakt niesłychany... Zakład, że nie zgadniesz, panie B.

Pan B. Wynaleziono sposób kierowania balonami?

Pan A. Co innego!

Pan B. Ogłoszono w Warszawie prenumeratę na jakie dzieło i znaleziono dwustu przedpłatników...

Pan A. Nie to jeszcze.

Pan B. Większego przecież dziwu nad te dwa wymyśleć niepodobna.

Pan A. Mnie dziś większy dziw spotkał... Dorożkarz powiedział mi „dziękuję”, chociaż mu dałem tylko dziesiątkę nad taksę.

(*W bawialnym pokoju.*)

PANI. Marysia... a... a!!!

MARYSIA. Słucham pani.

PANI. Jak dziś wieczór pan przyjdzie, żeby mi wszystko co się tylko stłuc może, szklanki, karafki, salaterki, cacka z tualety, Napoleon z komody... wszystko co do joty, co do źdźbła, żeby mi było pozamykane na klucz. Klucz schowasz do siebie do kuferka. Jak mi czego zapomnisz a stłucze się, to ci z zasług wytrącę... rozumiesz?

MARYSIA. A po co ma się stłuc, proszę pani?..

PANI. Eh, bo widzisz ... pan taki dziwak... dał mi pieniędzy na komorne, a ja, widzisz... kołnierz sobolowy do salopy kupiłam... Jak zobaczy, to się naturalnie rozzłości... gotówby wszystko porozbijać.



Wąż boa.—(str. 15, szp. 1).

(*Nad Wisłą, o zmroku.*)

WYSOKI JEGOMOŚĆ (*łapiąc złodzieja za rękę*)... Mam cię, łotrze!.. a to co?.. chciałeś mnie okraść?..

ZŁODZIÉJ (*wydzierając się.*) Ja?... kraść?!... jak Boga kocham... nigdy w życiu... słowo honoru... to pomyłka!

WYSOKI JEGOMOŚĆ. Pomyłka!.. a, urwisie!.. jeszcze masz w ręku mój zégarek.

ZŁODZIÉJ (*z udanem zadziwieniem.*) To pański.. a niech go pan sobie weźmie.. ja tam cudzego nie chcę. Pan taki wysoki... myślałem że to słup na Ujazdowie... i że zégarek jest do wzięcia... Prosta pomyłka!... (*wydziéra się i ucieka między szychty.*)

(*W nieobecności rodziców.*)

OŚMIOLETNIA JEDYNACZKA. Proszę pana, czy pan umie tańczyć.

PAN ARTUR. Umiem, ale nie lubię.

JEDYNACZKA. A różaniec pan odprawia?...

PAN ARTUR. Różaniec?... zkąd-że ci to przyszło, Kamilciu?...

JEDYNACZKA. I! to tak... bo mama powiedziała, że P ni do tańca, ni do różańca.

(*W cukierni.*)

ALFRED. Żenię się...

GUSTAW. Ja podobnież... za parę miesięcy...

ALFRED. Ma przyszła jest anielską...

GUSTAW. Ma luba jest boską.

ALFRED. Dwakroć za nią dostanę... wyprawę hrabiowską.

GUSTAW. Ja czterykroć i przepych wwyprawie książęcy..

ALFRED. Koligacę się z jednym z najświetniejszych rodów:

Co liczył trzech biskupów, czterech wojewodów.

GUSTAW. Ród świetny, do którego ma luba należy,

Wydał sześciu prymasów i ośmiu kanclerzy.

ALFRED. Ojciec jéj ma dwa klucze...

GUSTAW. Cztery ma jéj matka.

ALFRED. Miasteczko...

GUSTAW. Aż dwa miasta.

ALFRED. Pałac...

GUSTAW. Dwa pałace!...

ALFRED (*n. s.*) Już ja kłamię na urząd, lecz on łże jak z płatka

Wszystko dwoi... Poczekaj!.. zaraz ci odpłacę...

(*głośno*) Moja przyszła każdemu bardzo się podoba...

GUSTAW. Za moją każdy chętnie skoczyłby w płomienie...

ALFRED. Co za wdzięk!

GUSTAW. Urok!...

ALFRED. Dowcip!..

GUSTAW. Wiedza! ukształcenie!...

ALFRED (*prędko.*) Na jedno oko ślepa...

GUSTAW. A moja na oba!..

(*Dok. nast.*)

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj—Redaktor ADAM MIECZYŃSKI.